

FUNDACJA ARKUN
Turystyczna Włóczęga

autor: Paweł Musiał



Pomorskie
Po drodze



TOM 1

PAWEŁ MUSIAŁ

Pomorskie Po drodze

Turystyczna Włóczęga

First published by Fundacja ARKUN 2026

Copyright © 2026 by Paweł Musiał

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording, scanning, or otherwise without written permission from the publisher. It is illegal to copy this book, post it to a website, or distribute it by any other means without permission.

This novel is entirely a work of fiction. The names, characters and incidents portrayed in it are the work of the author's imagination. Any resemblance to actual persons, living or dead, events or localities is entirely coincidental.

Paweł Musiał asserts the moral right to be identified as the author of this work.

Designations used by companies to distinguish their products are often claimed as trademarks. All brand names and product names used in this book and on its cover are trade names, service marks, trademarks and registered trademarks of their respective owners. The publishers and the book are not associated with any product or vendor mentioned in this book. None of the companies referenced within the book have endorsed the book.

This publication was prepared with the support of the ChatGPT language model.

First edition

Editing by Mariusz Albecki

This book was professionally typeset on Reedsy.

Find out more at reedsy.com

dla mojego syna Rocha

Początek drogi

Niektóre decyzje dojrzewają latami, choć zapadają w jednej chwili. Jedna rozmowa, jedno zaproszenie, jedno zdanie wypowiedziane mimochodem potrafi uruchomić ciąg zdarzeń, który wraca później co roku. Tak właśnie zaczęła się Turystyczna Włóczęga — nie jako projekt, lecz jako droga.

Początkowo była pieszą wędrówką przez Pomorze. Z czasem, naturalnie i bez narzucania kierunku, dołączyły do niej także trasy rowerowe. Od 2021 roku Włóczęga to zarówno marsz, jak i jazda — dwa sposoby przemieszczania się, to samo tempo uważności. Niezależnie od środka transportu sens pozostaje ten sam: bycie w drodze, a nie „zaliczanie” trasy.

Ten ebook jest opowieścią z perspektywy ojca, który wiele lat temu zdecydował się wyruszyć po raz pierwszy za namową swojego dawnego nauczyciela ze szkoły. Człowieka, który nie tylko uczył kiedyś geografii, ale po latach stał się jednym z prowadzących piesze trasy Turystycznej Włóczęgi. To zaproszenie nie było obietnicą przygody ani wyzwania. Raczej

propozycją doświadczenia drogi w prosty, uczciwy sposób - bez rywalizacji, bez presji, bez konieczności przygotowań ponad miarę.

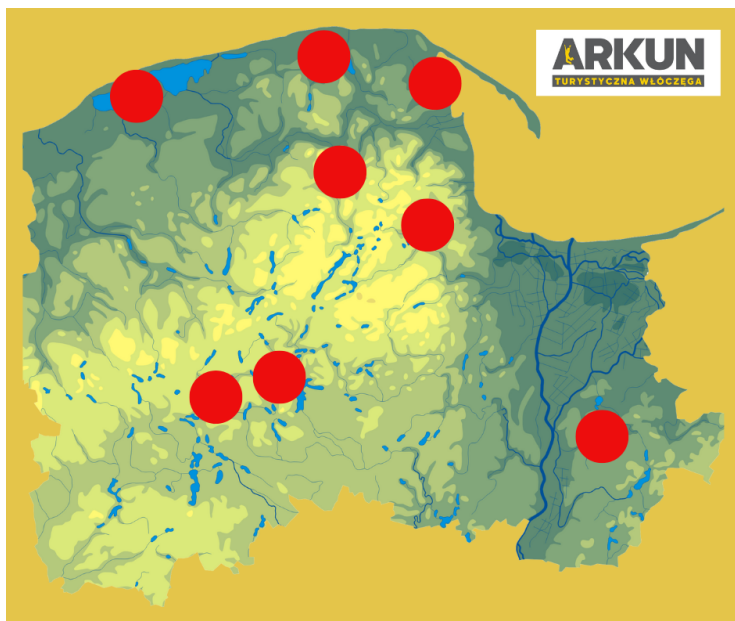
Pomorze stało się naturalnym kontekstem tej wędrówki. Region o wielu warstwach: przyrodniczych, historycznych i ludzkich. Lasy połamane przez nawałnice i te, które już się odbudowały. Wybrzeże, które uczy pokory. Wydmy, jeziora, wsie, dawne granice, ślady ludzi, którzy byli tu wcześniej. Trasy zmieniały się z roku na rok - piesze i rowerowe, ale sens pozostawał niezmienny.

Turystyczna Włóczęga nie wymaga wyczynowej kondycji ani sportowych ambicji. Jest propozycją dla tych, którzy chcą się ruszyć, ale niekoniecznie trenować. Dla tych, którzy szukają formy odpoczynku w ruchu i rozmowy w drodze. To doświadczenie wspólnoty, która rodzi się między kilometrami, przy ognisku, na postoju, w milczeniu lub w rozmowie. Ta książka nie jest przewodnikiem ani relacją z wydarzenia. To zapis lat drogi widzianej z perspektywy uczestnika, który wracał na Włóczęgę wielokrotnie, obserwując jak zmienia się krajobraz, ludzie i on sam.

Opowieść czerpie inspirację z historii, jednak postaci i ich losy są dziełem wyobraźni autora.

Jeśli interesuje Cię Pomorze oglądane z perspektywy marszu i roweru, droga jako proces, a nie cel, i doświadczenie, które nie potrzebuje wielkich słów, czytaj dalej. Reszta wydarzy się po drodze.

POCZĄTEK DROGI



Mapa z lokalizacjami miejsc wydarzeń do 2025 roku.

Epizod 1

2018 – Gmina Żukowo: Początek drogi

Na informację o Turystycznej Włóczędze trafiłem przypadkiem. Krótki wpis na Facebooku mojego dawnego nauczyciela ze szkoły. Kiedyś uczył mnie geografii, dziś tym wpisem zapraszał na swoją trasę pieszą. Kilka zdań o wędrówce, o zwiedzaniu rejonu i atrakcjach zaplanowanych na majowy weekend, o spotkaniu na stacji PKM w Żukowie i wspólnej drodze prowadzącej do bazy. Bez reklamy i bez obietnic. Wystarczyło, żebym chciał sprawdzić, jak ta droga wygląda w praktyce.

Mój syn miał wtedy sześć lat i nie mieliśmy żadnych szczególnych planów na ten weekend. Wiedziałem tylko, że nie zamierzamy siedzieć w domu. Żukowo było na wyciągnięcie ręki, kilkanaście kilometrów od Gdańska, więc w razie potrzeby zawsze można było wrócić. Cena za uczestnictwo również nie była zbyt wygórowana, ale najważniejsze było coś innego. Z opisu wynikało, że to nie będzie zwykła wędrówka. Oprócz

chodzenia miało pojawić się ognisko, biwak, namiot i noc spędzona w śpiworze - rzeczy, które dla dorosłych są logistyką, a dla dziecka przygodą.

– *Będziemy spać w namiocie?* – zapytał syn, kiedy mu o tym opowiedziałem.

– *Tak. W śpiworach* – odpowiedziałem.

Przez chwilę nic nie mówił, a potem stwierdził: – *To ja chcę.*

Pierwszy dzień pierwszej włóczęgi.

25 maja, około godziny 10:00, stanęliśmy na peronie stacji PKM Żukowo Wschodnie. Kilkanaście osób, głównie młodych, kilka rodzin z dziećmi w wieku ośmiu–dziesięciu lat. Bez ciężkich plecaków, bo bagaże zostały wcześniej zabrane przez organizatorów i miały trafić bezpośrednio do bazy. To od początku ustawiało właściwą perspektywę: idziemy, nie dźwigamy.

Z Żukowa ruszyliśmy w kierunku zbiornika w Rutkach. Zanim jednak weszliśmy na leśne ścieżki, po drodze zwiedzaliśmy elektrownię wodną na Raduni. Uruchomiona w październiku 1910 roku, była drugą elektrownią powstałą na tej rzece. Do dziś pozostaje w pełni sprawna - produkuje energię elektryczną, a jednocześnie pełni rolę zabytku techniki XX wieku. W początkach działalności zasilala sześćdziesiąt dziewięć okolicznych miejscowości, a obecna produkcja energii pozostaje zbliżona do tej sprzed ponad stu lat.

Na synu największe wrażenie zrobił huk pracujących turbin oraz wewnątrz pełne pokręteł, dźwigni i korb. Stał przez chwilę w ciszy, jakby próbował zrozumieć, że ta sama rzeka, którą za moment będziemy mijać w lesie, tutaj zamienia się

w siłę napędową maszyn. Około sto pięćdziesiąt metrów za elektrownią rozciągało się rozlewisko na Raduni oraz stał spektakularny most, który z roku na rok przyciągał coraz więcej spacerowiczów i fotografów. Dopiero stamtąd ruszyliśmy dalej, w stronę wody, lasu i właściwej drogi.

Już po pierwszych kilometrach okazało się, że ziemia po nocnych opadach nie zamierza nam ułatwiać zadania. Błoto było wszędzie. Wchodziło w buty, trzymało podeszwę, spowalniało każdy krok. Syn szedł bez narzekania, z naturalną ciekawością dziecka, które nie zna jeszcze pojęcia „niewygodnie”. Ja uczyłem się odpuszczać tempo i kontrolę.

Za zalewem trasa szła ostro w górę, w Jar Raduni, znany także jako Przełom Babidolski. To najdłuższy z przełomów tej rzeki - niemal dziewięć kilometrów między Trątkownicą a Rutkami. Wąska dolina szybko zamknęła nas między stromymi zboczami, miejscami sięgającymi nawet czterdziestu metrów wysokości. Zrobiło się chłodno i wyraźnie ciszej. Rzeka płynęła tuż obok, czasem widoczna, czasem tylko słyszalna, przypominając bardziej górski potok niż spokojną niziną rzekę. Woda przyspieszała, tworzyła bystrza, jakby z dużą siłą przeciskała się przez głęboki jar.

Szlak w tym miejscu nie należał do łatwych. Powalone drzewa wymuszały zejścia ze ścieżki, a wąskie, miejscami bagniste odcinki nie pozwalały iść swobodnie. Trzeba było patrzeć pod nogi i uważnie wybierać każdy krok. Jednocześnie krajobraz potrafił zatrzymać na chwilę - strome zbocza, głęboka dolina i roślinność o niemal podgórskim charakterze sprawiały wrażenie, jakbyśmy znaleźli się znacznie dalej na południe niż wskazywała mapa.



Jar Raduni

Zatrzymaliśmy się na moment. Syn był wyraźnie zachwycony tym odcinkiem trasy - naturalnym torem przeszkód, który co chwilę zmuszał do przeskakiwania, obchodzenia powalonych drzew i przedzierania się między konarami. Dla niego nie był to trudny fragment, raczej niekończąca się zabawa. W pewnym momencie spojrzał w dół doliny, na szybko płynącą rzekę i strome zbocza zamykające horyzont.

– *Roobiiii wraaaażenieeee!* – przeciągnął samogłoski z pełnym przekonaniem. Po chwili dodał już bardziej rzeczowo: – *Długo tu jeszcze będziemy iść?*

– *Jeszcze godzinę* – odpowiedziałem standardowo, bo przecież dla młodych czas jest pojęciem względnym. Kiwnął głową i bez wahania ruszył dalej. To była jedna z tych rozmów, które nie

potrzebują ciągu dalszego.

Po wyjściu z jaru dalsza droga prowadziła przez Kamienne Wesele w Trątkownicy. Prehistoryczne cmentarzysko Gotów, ukryte wśród drzew, było namacalnym śladem bytności ludzi, którzy pojawili się na tych terenach niemal dwa tysiące lat temu. Z zachowanych rzymskich kronik wiadomo, że Goci przyплыnęli w okolice ujścia Wisły około I wieku naszej ery ze Skandynawii, która w starożytności uchodziła za wyspę. Kamienne kręgi, rozsiane po lesie, stanowiły jeden z rodzajów pochówków, ale były też miejscami spotkań starszyny, obrad i sądów lokalnych społeczności.

Idąc obok syna, próbowałem poukładać w głowie tę długą drogę, którą przeszli ludzie, zanim my pojawiliśmy się tu z plecakami. – *Wiesz, że ci Goci, którzy przybyli tutaj ze Skandynawii razem ze swoim królem Berigiem, potem zawędrowali aż do dzisiejszych Włoch i Hiszpanii?* – powiedziałem. – *Gdy minęły co najmniej cztery pokolenia królów po Berigu, ówczesny władca, Filimer, zdecydował o dalszej wędrówce w stronę Morza Czarnego. Tam, w IV wieku, plemię podzieliło się na Ostrogotów i Wizygotów. Jedni opanowali Italię i stworzyli królestwo istniejące do VI wieku, drudzy po zdobyciu Rzymu utworzyli państwo na Półwyspie Iberyjskim, które przetrwało aż do najazdu Arabów w VIII wieku.*

Syn nie słuchał. W ciszy, patrzył na kamienne kręgi i kombinował jak można na nie się wspiąć. Zainteresowała go dopiero legenda odpowiedziana przez prowadzącego - o zaklętym orszaku weselnym, o kucharkach rzucających przekleństwo i weselnikach, którzy skamienieli w lesie.



Podobno zniecierpliwione kucharki rzuciły klątwę na spóźnionych weselników.

Dotarliśmy do Borcza i po paru postojach ja nadal napawałem się krajobrazem, który tak nie pasował do miejsca oddalonego od Trójmiasta zaledwie paręnaście kilometrów. Zmęczenie przyszło naturalnie, bez walki, młody szedł już ciszej, skupiony na krokach. Ja pilnowałem, żebyśmy nie zgubili rytmu.

Do wsi Skrzyszewo dotarliśmy późnym popołudniem. Baza została zorganizowana na terenie miejscowej Szkoły Podstawowej. Na boisku stał już duży, dmuchany namiot Decathlonu oraz kilka mniejszych namiotów rozstawionych przez uczestników, którzy dołączyli dopiero tego dnia i nie brali udziału w piątkowych wycieczkach. Zielona, otwarta przestrzeń, bez turystycznej oprawy i zbędnych udiwnień — dokładnie taka, jaka była potrzebna po całym dniu marszu. Bagaze czekały na nas na miejscu, a instruktorzy krążyli między grupami, pomagając tym, którzy robili to po raz pierwszy.

Namiot rozbijaliśmy razem. Tłumaczyłem synowi po kolei, co do czego służy, gdzie włożyć tyczki stelaża i jak najłatwiej wbić szpilki w twardą ziemię. Kiedy coś robił niepewnie albo nie widział, poprawiałem po nim, bez pośpiechu. Chciałem, żeby zapamiętał ten proces, a nie tylko efekt. Potem przyszła kolej na pompowanie materaców — naturalna przerwa po całej akcji i moment na spokojną rozmowę.



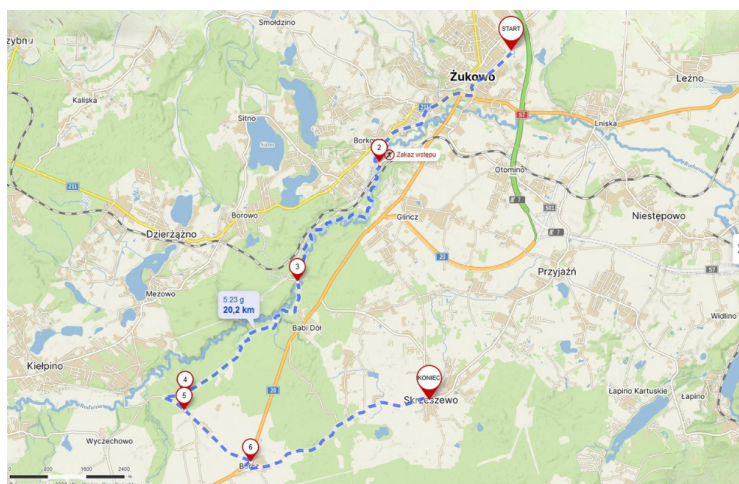
Namioty na boisku przy szkole w Skrzyszewie.

Usiedliśmy obok gotowego namiotu. Pytałem, co najbardziej podobało mu się na trasie, a co było trudne albo męczące. Opowiadał o Jarze Raduni, o przeskakiwaniu przez konary, o rzece i o tym, że w lesie było „jak w prawdziwej przygodzie”. Zastanawialiśmy się, co jeszcze chciałby robić tego dnia i czy ma jeszcze siłę na resztę programu.

- *A jutro znowu będziemy iść?* – zapytał w końcu.
- *Tak. Jeśli będziesz chciał* – odpowiedziałem.
- *Chcę* – powiedział bez wahania.

Wieczorem rozpalono ognisko. Organizatorzy zapewnili ciepły posiłek, resztę każdy organizował sam. Kielbasa, ciche rozmowy, zmęczenie, które nie ciąży. Ktoś powiedział, że droga uczy wszystkiego. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak często będę do tego zdania wracał.

W nocy przyszła burza. Deszcz bębnił o namiot, wiatr poruszał tropikiem. Leżałem i słuchałem, myśląc o pierwszym śladzie buta w błocie. O tym, że stawia się go bez wielkich słów, a jednak potrafi wyznaczyć kierunek na długo. Tak zaczął się nasz szlak. Od Żukowa, przez elektrownię na Raduni, Jar Raduni, Kamienne Wesele i szkolne boisko w Skrzyszewie. Od pierwszego kroku, który nie zapowiadał niczego więcej poza drogą. I właśnie dlatego okazał się początkiem.



Trasa do pobrania na stronie <https://www.rajdarkun.pl/warto-odwiedzic/>

Drugi dzień pierwszej włóczęgi.

Sobota, 26 maja, zaczęła się spokojnie i jasno. Od rana było słonecznie i ciepło, bez pośpiechu i bez napięcia. Światło zapowiadało długi dzień w drodze. W bazie panował naturalny, poranny ruch - ktoś już zwijał namiot, ktoś nalewał herbatę, ktoś jeszcze siedział na ławce, próbując zebrać myśli po nocy.

Śniadanie było proste i wystarczające. Kanapki przygotowane na szybko, herbata z szybkowaru, kilka krótkich rozmów. Potem zwijanie obozu. Namioty znikają jeden po drugim, śpiwory trafiały do worków, a wszystkie rzeczy pakowane były do pojazdu transportowego, który miał zabrać je na kolejne miejsce noclegu. To był moment, w którym baza przestawała

istnieć - znów liczyła się tylko droga.

Wyruszyliśmy w kierunku wsi Ząbrsko Górne, dalej do Marszewskiej Góry. Początek trasy był łagodny, sprzyjał rozmowom i spokojnemu tempu. Syn szedł chętnie, jeszcze pełen energii po poranku. Ja pilnowałem, żeby nie przyspieszać bez potrzeby, wiedząc, że dzień będzie długi.

Prawdziwym zaskoczeniem była Dolina Reknicy. Niewiarygodna w swojej dzikości i ciszy. Wąska, zielona, niemal nietknięta, z rzeką wijącą się między zboczami. To był fragment trasy, który sam narzucał tempo. Szliśmy wolniej, częściej się zatrzymywaliśmy. Krajobraz robił swoje, bez potrzeby komentarza.



Dolina Reknicy

– *Wiesz, czytałem, że tu niedaleko jest rezerwat przyrody, niedostępny dla turystów, w którym rosną drzewa mające nawet po sto czterdzieści lat* – powiedziałem, idąc obok syna. Spojrzał na mnie uważnie. – *A to dużo? Więcej niż ty masz lat?* Uśmiechnąłem się tylko pod nosem. Kochany syn - nie ma co.

Zmęczenie przyszło stopniowo. Najpierw zwolnił krok, potem pojawiły się dłuższe postoje. W pewnym momencie nie było sensu udawać, że sześciolatek przejdzie cały dzień o własnych siłach. Przez kilka kilometrów niosłem go na barana, później skorzystaliśmy z wózka wycieczkowego, który miał jeden z ojców. Bez komentarzy i bez ocen - na takiej drodze pomoc jest czymś naturalnym.

Wyjście w Czapielsku było jak zmiana sceny. Jezioro Łapińskie pojawiło się nagle, a możliwość zmożenia nóg w wodzie była bardziej potrzebą niż atrakcją. Chłód jeziora przyniósł ulgę. Dzieci natychmiast zapomniały o zmęczeniu, dorośli na chwilę przestali myśleć o dystansie. Stałem po kostki w wodzie i miałem poczucie, że to jeden z tych momentów, które zostają w pamięci na długo, choć trwają krótko.

Baza tego dnia znajdowała się we wsi Przyjaźń, na terenie szkoły podstawowej. Kiedy dotarliśmy na miejsce, było widać zmęczenie, ale też satysfakcję. Znów namioty, znów ognisko, znów proste czynności, które porządkują dzień lepiej niż jakiegokolwiek plan. Po rozstawieniu obozu każdy znalazł chwilę na odpoczynek.

Wieczorem przyszła pora na wspólne atrakcje. Najpierw konkurs na „łapanie jajka”. Uczestnicy dobierali się w pary i

rzucali do siebie jajko. Przegrywała ta para, której jajko rozbilo się podczas rzutu lub łapania. Wygrywała ta, która potrafiła zwiększać dystans i wciąż utrzymać jajko w całości. Z każdą rundą było coraz więcej śmiechu i coraz większe skupienie. To była jedna z tych zabaw, które nie potrzebują oprawy - wystarczy prosty pomysł i ludzie.

Chwilę później odbył się konkurs krajoznawczy. Pytania dotyczyły trasy, miejsc, przez które przechodziliśmy, i opowieści przewodników. Kto pamiętał nazwę doliny, kto potrafił wskazać kolejną wieś, a kto zapamiętał szczegół z historii regionu. Nagrodami były drobne gadżety gminy, w której przebywaliśmy — symboliczne, ale wystarczające, by rywalizacja nabrała sensu.

Na zakończenie każdy uczestnik otrzymał pamiątkowy medal. Dla dorosłych był to miły gest, ale dla mojego syna — rzecz absolutnie wyjątkowa. Cieszył się niemożliwie, obracał medal w dłoniach, sprawdzał wytłoczenia, co chwilę zerkał, czy wciąż jest na swoim miejscu. Do dziś wisi w jego pokoju, na klamce od okna, jak najważniejsze trofeum.

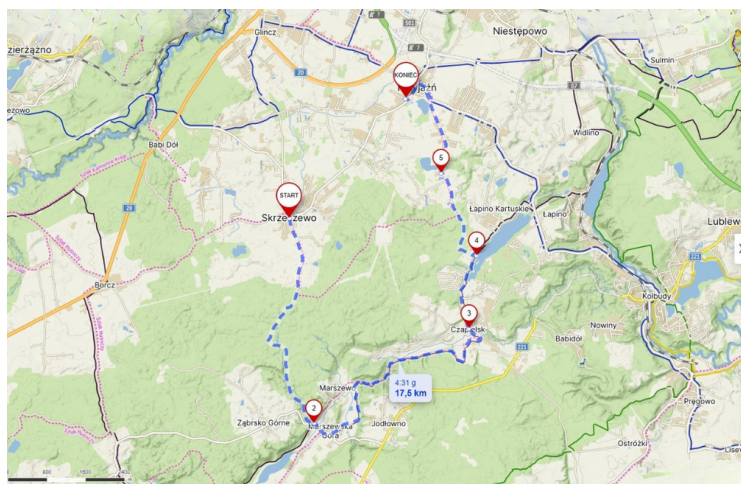


Najmłodszy uczestnik wydarzenia.

Kiedy emocje opadły, a ognisko znów stało się centrum wieczoru, syn był wyraźnie zmęczony, ale zadowolony. Szybki prysznic i logowanie do namiotu. – *Dzisiaj było długie chodzenie* – powiedział, jakby podsumowywał cały dzień. Zasnął pięć sekund później.

Ja natomiast wróciłem jeszcze do ogniska, przy którym jeden z uczestników grał na gitarze. Wreszcie był czas na spokojną

rozmowę z organizatorami i wysłuchanie opowieści o tym, jak, gdzie i kiedy inni spędzali czas na wędrownkach i wycieczkach. Historie mieszały się z dźwiękiem strun i trzaskiem ognia. Po kilku godzinach dopadło mnie znużenie. Dwa dni na świeżym powietrzu, długie spacery i małe piwko przy ognisku okazały się zupełnie inną formą odpoczynku niż ta, do której przywykłem na co dzień. Tak zakończył się drugi dzień. Bez fajerwerków, ale z poczuciem sensu.



Trasa do pobrania na stronie <https://www.rajdarkun.pl/warto-odwiedzić/>

Trzeci dzień pierwszej włóczęgi.

Niedziela, 27 maja, zaczęła się ciszej niż wcześniejsze poranki. Pogoda wciąż sprzyjała, było słonecznie i przyjemnie, ale w powietrzu wyraźnie czuło się, że to już koniec. Zwijanie obozu

w Przyjaźni przebiegało sprawnie i niemal automatycznie. Namioty znikwały szybciej niż poprzednich dni, bagaże trafiały do pojazdu transportowego, a rozmowy były krótsze. Każdy wiedział, że przed nami ostatni odcinek trasy.

Po spakowaniu ruszyliśmy w kierunku Otomina. Droga była spokojniejsza, bardziej otwarta, jakby celowo zaplanowana na zakończenie wędrówki. Szliśmy bez pośpiechu, w tempie, które pozwalało jeszcze raz nacieszyć się drogą. Syn szedł o własnych siłach, zmęczony, ale dumny z tego, że to już trzeci dzień marszu.

W Otominie zatrzymaliśmy się na chwilę. To niewielka wieś, ale związana z jedną z tych legend, które łatwo zapadają w pamięć. Według opowieści jej nazwa pochodzi od rycerza Otomina, który zakochał się w ruszałce Odmynie. Złamał jednak daną jej obietnicę milczenia, wypowiadając jej imię, przez co ruszałka zniknęła bez śladu. Mówi się, że echo w okolicach jeziora do dziś powtarza jej imię. Syn słuchał uważnie, spoglądając w stronę wody, jakby naprawdę liczył na to, że coś usłyszy. W takich momentach granica między historią a wyobraźnią była wyjątkowo cienka.

Dalsza trasa prowadziła już do Żukowa. Powrót do miejsca startu miał w sobie coś symbolicznego. Kiedy dotarliśmy pod zespół poklasztorny, poczułem, że to właściwy punkt zakończenia całej wędrówki.

Żukowski zespół poklasztorny to najstarszy zabytek architektoniczny na Kaszubach. Jego historia sięga XIII wieku i nierozzerwalnie wiąże się z norbertankami sprowadzonymi

tu z inicjatywy księcia gdańskiego Mściwoja I i jego żony Zwinisławy. Przypuszczalnie już w 1212 roku rozpoczęto budowę klasztoru, a wraz z nim rozwijała się cała osada. Zakonnice prowadziły szkołę żeńską dla córek gdańskich patrycjuszy, ucząc m.in. szycia, robót ręcznych i haftowania. To właśnie tutaj ukształtowała się tzw. szkoła żukowska kaszubskiego haftu ludowego, której wzory przetrwały do dziś.



Zespół poklasztorny w Żukowie

Dzieje klasztoru były burzliwe — okresy rozwoju przeplatały się z najezdami, zniszczeniami i odbudową. Norbertanki posiadały przez wieki liczne majątki ziemskie, młyny, browar, cegielnię i prawo do połowu ryb na Jeziorach Raduńskich. Wojny XVII i XVIII wieku oraz zarządzenia władz pruskich na początku XIX wieku doprowadziły do stopniowej kasacji konwentu. Ostatnia zakonnica, Agnieszka Bojanowska, zmarła w 1862 roku, do końca prowadząc kronikę zakonną i przekazując

miejscowym hafciarkom wiedzę, legendy i opowieści związane z klasztorem.

Syn słuchał tylko fragmentami, więcej obserwował niż pytał. Chodził po dziedzińcu, dotykał kamiennych murów, jakby sprawdzał, czy naprawdę pamiętają tyle historii. Dla mnie to miejsce było czymś więcej niż zabytkiem — stało się naturalnym domknięciem drogi.

Tu oficjalnie zakończyła się Turystyczna Włóczęga. Bez fanfar, bez podsumowań, za to z krótkimi pożegnaniem i zdaniami w rodzaju „do zobaczenia następnym razem”. Spojrzałem na syna - był zmęczony, ubrudzony i spokojny. Dokładnie taki, jaki powinien być na końcu trzydniowej wędrówki. Patrząc na jego buty, wiedziałem, że ten pierwszy ślad w błocie z Żukowa wciąż tam jest, tylko prowadzi już dalej.

Wracaliśmy do samochodu dość powoli, jakbyśmy obaj zastanawiali się, co zrobić z resztą dnia. W pewnym momencie padła decyzja, która nie wymagała głosowania. Może na jakieś lody? Nie miałem zbyt wiele do powiedzenia, bo hasło „lody” dla dzisiejszych młodzieńców oznacza jedno — McDonald’s. Po kilku dniach kanapek, herbaty i ogniskowych kiełbasek brzmiało to jak luksus.

Siedzieliśmy chwilę później przy stoliku - ja zmęczony, on opalony, ubrudzony i wyraźnie zadowolony z życia. – *No dobra* – zapytałem, patrząc na młodego. – *Co najbardziej podobało ci się na wyjeździe?* Zastanowił się chwilę, jakby wybór był naprawdę trudny. – *To, że nie musiałem się codziennie kąpać* – odpowiedział bez wahania. Po chwili dodał: – *No i ten tor przeszkód przy rzece.*

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że właśnie tak wygląda udana wyprawa.

3

Epizod 2

2019 – Gmina Puck: Zapomniane drogi

Zacząłem ten drugi rok kompletnie nie „na czas”, tylko w trybie awaryjnym. Po pierwszej Włóczędze miałem w głowie, że przecież będę śledził terminy, że nie przegapię zapisów, że to już „nasza rzecz” na wiosnę. A potem przyszła codzienność, praca, tydzień za tygodniem i zanim się obejrzałem, okazało się, że nie dość, że zapomniałem o rejestracji, to nawet nie zaobserwowałem profilu ARKUN. Dowiedziałem się o wszystkim na kilka dni przed planowanym weekendem od znajomych, których poznałem rok wcześniej. W tym momencie nie było już miejsca na rozsądek i planowanie, był tylko szybki rachunek: da się czy się nie da.

Dało się, ale po kosztach. W czwartek, niemal na ostatnią chwilę, organizowałem urlop na 7 czerwca, żeby w ogóle móc z synem pojechać. Równolegle musiałem załatwić sprawę w

szkole, bo syn miał już wtedy siedem lat i zaczął naukę na poważnie. A 7 czerwca nie było żadnym „dniem luźnym” - normalnie odbywały się zajęcia. Zamiast dyskusji o tym, czy warto, była akcja logistyczna: zgoda, usprawiedliwienie, szybka rozmowa, żeby nie brzmiało to jak kaprys rodzica, tylko jak sensowny powód nieobecności.

Syn przyjął niespodziewane „wolne” ze zdziwieniem ale był przeszczęśliwy, choć do końca nie rozumiał, gdzie właściwie jedziemy i po co. Dla niego liczyło się tylko to, że znów będzie „wyprawa” i że to wypada w dzień szkoły, co automatycznie podnosiło rangę wydarzenia o trzy poziomy.

– To gdzie jedziemy? – dopytywał w kółko, kręcąc się po mieszkaniu jak sprężyna.

– W okolicy Pucka.

– A co jest w puckach?

– Trasy do wędrowania...

To go wcale nie uspokoiło, ale w jego głowie i tak wygrały dwa słowa: „wyjazd” i „nie idę do szkoły”.

Tym razem Turystyczna Włóczęga była opisana jako edycja „gmina Puck”, z bazą w Darzłubiu i Swarzewie. I tu pojawiło się pytanie, które w pewnym momencie zaczęło mnie bawić: co to za Puck, skoro nie było Pucka? Żadnego deptaka, żadnego portu, żadnego „jesteśmy w mieście”. Były za to wsie, polne drogi, lasy, wiatr od zatoki gdzieś w tle i ta specyficzna północna przestrzeń, która wygląda jakby miała więcej powietrza niż reszta kraju.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to w gruncie rzeczy bardzo „puckie”. Nie chodziło o to, żeby zaliczyć miejscowość z tablicą na wjeździe, tylko żeby wejść w teren, który do niej

należy - w gminę, w rejon, w ten kawałek Pomorza, który żyje trochę obok głównych tras. Puck był tu bardziej kierunkiem niż punktem na mapie. Nazwą parasolową dla wszystkiego, co miało w sobie wiatr północy, słony zapach w powietrzu i poczucie, że od teraz teren będzie dyktował warunki.

A syn? On miał własne kryteria. Sprawdzał tylko, czy będzie namiot, czy będzie ognisko i czy będzie gdzie biegać. Reszta była dla niego tłem. I w sumie dobrze, bo w tym drugim roku, zanim jeszcze zrobiliśmy pierwszy krok, ja już wiedziałem, że najtrudniejsze nie będzie dojście do bazy. Najtrudniejsze było nie przegapić tego wszystkiego przez zwykłe „nie zdążyłem”.

Dzień pierwszy - zamek na szlaku

7 czerwca zaczęliśmy na stacji PKP w Żelistrzewie. Sama nazwa brzmiała jak językowy żart, a miejsce tylko to potwierdzało - peron pośrodku niczego (obecnie stoi tam najmniejszy dworzec kolejowy w Polsce przyp. autora), puste pole przy torach, żadnej miejskiej scenografii, żadnego „tu się zaczyna przygoda”. I właśnie dlatego pasowało idealnie. Jak rok wcześniej, liczba uczestników była niewielka - piątek robił swoje. Sporo młodzieży szkolnej, kilka rodzin z dziećmi, twarze jeszcze trochę zaspane, ale już nastawione na drogę.

Organizator ustawił nas do wspólnego zdjęcia startowego, zrobił krótką odprawę, przywitanie i przedstawił plan dnia. Bagaże, jak poprzednio, pojechały osobno do bazy. My ruszaliśmy lekko, bez dźwigania, z tym, co potrzebne na kilka godzin marszu. Celem był Puck, przynajmniej oficjalnie. Kiedy jednak padło pytanie „co po drodze?”, odpowiedź nie była listą

punktów do odhaczenia, raczej zapowiedzią miejsc, o których większość z nas wcześniej nie słyszała. Pierwszym z nich była Dolina Gizdepki. Przyznam uczciwie - nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje. Szybko jednak wygooglałem podstawowe informacje, bo przeczuwałem, że mogą pojawić się pytania od młodego.

Dolina okazała się jednym z tych miejsc, które nie robią wrażenia z daleka, ale wciągają, kiedy już się w nich jest. Wąska, zielona, cicha. Woda, trawy, ptaki, brak pośpiechu. Syn szedł blisko, co chwilę zaglądając do strumienia, jakby spodziewał się, że coś z niego wyskoczy.

– A skąd ona się właściwie bierze? – zapytał nagle, wskazując na wodę.

– Ta rzeka? Zaczyna się kawałek stąd, w lesie. W Puszczy Darżlubskiej, kilka kilometrów od Wejherowa.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie podejrzliwie. – To ona tyle szła?

– Około trzynaście kilometrów.

Pokręcił głową z uznaniem. – To długo jak na taką małą.

Uśmiechnąłem się. Pomyślałem o tym, że Gizdepka płynie tu od wieków, a jej nazwa pojawiała się na mapach jeszcze w XIX wieku — najpierw w niemieckiej wersji Gisdepka Tal, później na polskich mapach wojskowych. Być może wywodzi się od dawnego słowa oznaczającego gościniec. Mała rzeka przy drodze, która po prostu prowadzi dalej. I znów poczułem, że Włóczęga prowadzi przez miejsca istniejące obok głównych narracji - bez tablic informacyjnych i punktów widokowych.

Rzeczka prowadziła nas konsekwentnie w stronę wody większej. Początkowo powiedziałem, że wpada do morza, ale

zostałem szybko i bez litości poprawiony przez miejscowego. Nie do morza - do Zatoki Puckiej. Tu takie rzeczy mają znaczenie.

Kolejnym przystankiem było Osłonino. Małe, spokojne, z niewielkim moło, które wyglądało bardziej jak przedłużenie brzegu niż atrakcja turystyczna. Zatrzymaliśmy się na chwilę. Kilka zdjęć, moment ciszy, spojrzenie w stronę wody. Zatoka była tu blisko, niemal na wyciągnięcie ręki, ale wciąż bez tej miejskiej energii, którą kojarzy się z nadmorskimi miejscowościami.

Potem Rzucewo. I zamek. Tak po prostu. Zamek, którego kompletnie się nie spodziewałem. Neogotycki pałac stojący nad samą wodą, z historią i legendami, które nagle zmieniły tempo dnia. Zanim powstał obecny zamek, stał tu dwór. Miejsce, w którym bywał podobno sam król Jan III Sobieski, odwiedzający majątek należący do jego siostry, Katarzyny. To ona założyła prowadzącą do pałacu lipową aleję - długą na tysiąc kroków, którą przechodziliśmy niemal automatycznie, licząc w myślach, choć nikt nie doszedł do końca rachunku.

Z przestrzeni doliny i ścieżek weszliśmy w opowieści o dawnych właścicielach, arystokracji i czasach, kiedy to miejsce było ważnym punktem na mapie regionu. Były też legendy. Jedna z nich mówiła o studni, z której o północy mają dochodzić jęki i płacz - głosy dawnych żon właścicieli, skazanych na wieczne męki za niewierność.

– Tato, a co to znaczy „niewierność”? – zapytał nagle, marszcząc brwi.

Zastanowiłem się chwilę. – To takie bardzo stare słowo. W

skrótce: ktoś obiecywał, że będzie się zachowywał w porządku, a potem robił coś zupełnie innego.

– Czyli jak mówię, że posprzątam pokój, a potem nie sprzątam?

– Mniej więcej. Tylko że dorośli potrafili kiedyś strasznie przesadzać z karami.

Pokręcił głową. – To głupie.

– Z dzisiejszego punktu widzenia bardzo – przyznałem.

Syn słuchał wybiórczo. Bardziej interesowały go schody, mury i sam fakt, że to „prawdziwy zamek”, a nie coś z książki. Ale kiedy mijaliśmy studnię, zwolnił krok i zajrzał do środka uważniej niż wcześniej.

– A one dalej tam są? – zapytał szeptem.

– Nie – odpowiedziałem spokojnie. – Została tylko legenda.

Kiwnął głową, jakby to była najlepsza możliwa odpowiedź.

Zaraz potem trafiliśmy do miejsca, którego nie znałem zupełnie - Osady Łowców Fok. Urokliwe miejsce, z zapierającą dech panoramą i prosta, ale mocna opowieść o ludziach żyjących z morza w sposób, który dziś wydaje się niemal nierealny. Bez romantyzowania, raczej z surowością i szacunkiem do natury. Dla mnie był to jeden z tych punktów, które zmieniają perspektywę. Nagle krajobraz przestaje być tylko ładnym tłem.



Osada Łowców Fok

Dalsza trasa prowadziła już wzdłuż Zatoki Puckiej. Urwiste klify, wąskie ścieżki, otwarta przestrzeń po jednej stronie a po drugiej spokojna tafla Zatoki Puckiej. Szliśmy długo, czasem w rozmowie, czasem w ciszy, która pojawiała się sama, kiedy widok nie potrzebował komentarza. Syn biegł przodem, wracał, przyspieszał i znów zniknął kawałek dalej.

W końcu zeszliśmy na plażę w Pucku. Miasto pojawiło się na końcu, nie jako główny punkt programu, ale jako naturalne domknięcie drogi. Najpierw dolina, potem wieś, moło, zamek, osada, klify - dopiero na końcu plaża.

I wtedy zrozumiałem, że pytanie „co to za Puck, skoro nie było Pucka?” ma bardzo prostą odpowiedź. To był Puck widziany

od zaplecza, od strony, z której się nie wjeżdża, tylko dochodzi. I dokładnie o to w tej Włóczędze chodziło.

Z Pucka nie wracaliśmy do bazy pieszo, na parkingu czekał podstawiony przez gminę autokar, który zabrał nas do wsi Darżlubie. Po całym dniu marszu ten przejazd był jak miękkie przejście między światami - z otwartej przestrzeni klifów i plaży do miejsca, które na tę jedną noc miało stać się domem.

Baza powstała przy miejscowej szkole. Kiedy wysiedliśmy z autokaru, zobaczyłem, że na boisku i wokół budynku wyrosło już niemałe namiotowe „miasteczko”. Kolorowe tropiki, rzędy śledzi, plecaki pod płotem, znajome już twarze i ten specyficzny zapach końca dnia w drodze - mieszanka kurzu, trawy i zmęczenia.

Jak tradycja nakazuje, namiot rozbijaliśmy razem. Tyle że tym razem wyglądało to zupełnie inaczej niż rok wcześniej. Syn wyjął elementy, rozłożył je na trawie, bez słowa zaczął składać stelaż.

– Pomóc? – zapytałem bardziej z grzeczności niż z potrzeby.

– Nie, wiem! – odpowiedział krótko.

I rzeczywiście wiedział. Tyczki trafiły na swoje miejsce, szpilki wbił pewnie, bez kombinowania. Patrzyłem na to z boku i miałem wrażenie, że ta droga uczy szybciej niż niejedna instrukcja. Dla mnie to był moment cichy, ale ważny — taki, który zapisuje się gdzieś głębiej niż zdjęcia.

Późnym popołudniem, kiedy większość uczestników szykowała się już do pierwszych kiełbasek z ogniska, na teren szkoły wjechali miejscowi strażacy z OSP. Bez zapowiedzi, bez patosu,

zaparkowali wóz, rozwinęli krótki pokaz, opowiedzieli kilka zdań o swojej pracy i zaprosili dzieci do obejrzenia wszystkiego z bliska. Drzwi kabiny, schowki, węże, hełmy - magia natychmiastowa.

Syn trzymał się blisko wozu, ale bez euforii. Obejrzał, dotknął, zapytał o dwie rzeczy i... to było wszystko. Zmęczenie wygrało. Jeszcze zanim ognisko na dobre się rozpało, zniknął w namiocie.

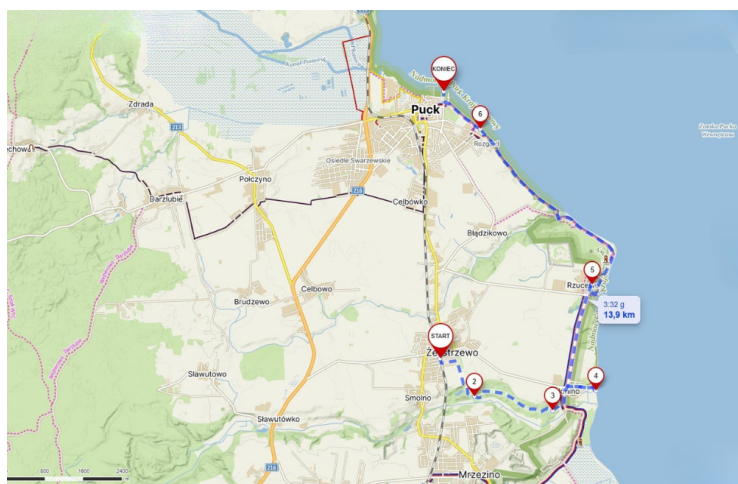
– Tylko się położę – rzucił.

Zasnął, zanim zdążyłem dokończyć kielbaskę.

Ja długo nie mogłem spać. Leżałem w śpiworze, słuchając nocnych dźwięków obozu, trasku ognia, przyciszonych rozmów i... chrapania. Ktoś w sąsiedztwie namiotów chrapał z siłą, której nie powstydzilby się silnik diesla. Przez chwilę próbowałem znaleźć winnego w myślach, potem uznałem, że to część pakietu. W końcu Włóczęga nie obiecywała komfortu, tylko drogę.

Leżałem więc, słuchając wszystkiego naraz — oddechu syna, nocnych odgłosów wsi i tego jednego, nieubłaganego chrapania. I pomyślałem, że to właśnie takie noce najlepiej zapamiętuje się po latach. Nie te idealne. Te prawdziwe.

Tak zakończył się pierwszy dzień drugiej Włóczęgi. Droga znów zrobiła swoje. A jutro miała zrobić jeszcze więcej.



Trasa do pobrania na stronie <https://www.rajdarkun.pl/warto-odwiedzic/>

Dzień drugi - jaskinia na trasie

Sobota, 8 czerwca, poranek w Darzłubiu był spokojny i zaskakująco ciepły. Drugi dzień zawsze ma swój własny rytm - mniej chaosu, więcej automatyzmu. Zwijanie namiotów szło sprawnie, a syn krzątał się przy swoich rzeczach z pewnością, której rok wcześniej jeszcze nie miał. Nie pytał, nie czekał na instrukcje. Wiedział, co gdzie schować i w jakiej kolejności. Widać było, że obozowe życie przestało być dla niego nowością.

Po śniadaniu ruszyliśmy w trasę. Celem dnia była jedna z najbardziej nietypowych atrakcji Pomorza - Grota Mechowska. Już sama nazwa działała na wyobraźnię, szczególnie siedmioletka.

– Te groty to naprawdę są pod ziemią? – dopytywał co kilka minut.

– Tak, ale spokojnie. Bardziej pod ulicą niż pod ziemią jak u krasnoludów – próbowałem tonować oczekiwania.

– A będzie tam ciemno?

– Trochę. Ale damy radę.

Dla niego samo słowo „grota” wystarczyło, żeby dzień automatycznie stał się przygodą.

Grota Mechowska okazała się miejscem kompletnie nieoczywistym. Znajduje się na skraju wsi Mechowo, dosłownie przy samej drodze. Trudno uwierzyć, że tuż pod asfaltem kryje się tego typu osobliwość geologiczna powstała na terenach nizinnych. Jej geneza sięga zlodowacenia bałtyckiego - wody przesączające się przez glinę zwałową (morenową), piaski oraz żwir stopniowo wypłukiwały luźniejszy materiał, a wypłukany z osadów gliniastych węglan wapnia utworzył zlepieniec w stropie jaskini.

Grota została odkryta w 1818 roku podczas pomiarów geodezyjnych, a jej historia to ciąg zawalów, odbudów i powrotów do życia. Udostępniona trasa jest krótka, wąska i niska — miejscami trzeba się schylić, uważać na głowę i stawiać kroki ostrożnie. Dalsza część, z najsłynniejszymi czerwonymi naciekami kalcytowymi, jest dziś zamknięta ze względów bezpieczeństwa.

Opowiedziałem synowi, że kiedy sam byłem jeszcze w podstawówce, wszedłem do samego końca i widziałem słynne „czerwone serce” - jeden z najbardziej charakterystycznych nacieków w grocie. Dziś nie można tam wchodzić, bo drgania od ruchu

samochodów nad sklepieniem są zbyt niebezpieczne. Słuchał uważnie, trochę zazdrosny, ale wyraźnie zafascynowany.



Grota Mechowska

Za Mechowem ruszyliśmy dalej w stronę Starzyna. Początkowo trasa była spokojna, niemal sielankowa. Jednak niebo zaczęło się zmieniać szybciej, niż przewidywały poranne prognozy. Najpierw cięższe chmury, potem nagle podmuchy wiatru i w końcu przyszła potężna burza z ulewą. Chowaliśmy się wszyscy, gdzie popadło - pod wiatami przystankowymi, przy zabudowaniach, byle na chwilę zejść z linii deszczu, ale nie uchroniło to nas przed totalnym przemoknięciem. Woda była już wszędzie.

Prowadzący zadzwonił „do bazy” i poprosił o transport dla przemoczonych dzieciaków. Organizacja zadziałała szybko, choć z nutą improwizacji. Ciekawostką był transport „na raty”,

bo odbywał się dużym samochodem dostawczym zaledwie z trzema miejscami. Kurs po kursie, bez nerwów i bez pośpiechu, dzieci trafiały pod dach.

Syn siedział obok mnie w samochodzie z innym chłopcem, owinięci w ręczniki kąpielowe, mokrzy, ale spokojni.

- Ale fajne pioruny nieeeee? – rozmawiali ze sobą małośni.
- Noooo, ale jak głośno strzelało!
- Nooooo, to było cooooś!

Transport dowiózł nas do Swarzewa, gdzie czekała już baza. Dla najmłodszych wędrowka zakończyła się wcześniej, ale nikt nie miał poczucia porażki. Wręcz przeciwnie, była w tym wszystkim jakaś lekcja. O tym, że droga bywa nieprzewidywalna, a mądra decyzja bywa ważniejsza niż ambitny plan. Przemoknięci, ale w dobrych nastrojach, szybko wróciliśmy do trybu obozowego.

Rozbijanie namiotów miało tego dnia swój zupełnie nieoficjalny kontekst. Po obozie krążyła już plotka, że ustalono, kto poprzedniej nocy chrapał tak, że było go słychać w połowie Darżlubia. Efekt był natychmiastowy, namioty zaczęły powstawać w wyraźnie większych odstępach niż zwykle. Na szczęście „wskazany” podszedł do sprawy z humorem, śmiejąc się, że przynajmniej będzie miał więcej pola przed namiotem.

Po wysuszeniu się i szybkim poczęstunku rozpalono ognisko. Ku zaskoczeniu dorosłych dzieci wyglądały tak, jakby marsz, burza i wcześniejszy transport w ogóle ich nie zmęczyły. Berki, chowany, bieganie między namiotami - energia wróciła błyskawicznie. Wieczorem odbył się tradycyjny konkurs z wiedzy o tym, co widzieliśmy przez ostatnie dni. Pytania

o groty, trasy, miejsca i legendy. Były drobne nagrody, ale najważniejsze okazały się emocje i wspólny śmiech.

Na koniec ktoś sięgnął po gitarę. Ognisko trzaskało cicho, a nad Swarzewem rozlał się fantastyczny zachód słońca. Jeden z tych, których klimat nie odda żadne zdjęcie czy opowieść.



Zachód słońca w Swarzewie.

Było już bardzo późno, kiedy poszliśmy spać. Wczołgaliśmy się do namiotów a zapinając popatrzyłem na buty młodego - rzucone w kąt przedsionka namiotu, mokre i ubłocone.

Pomyślałem, że ten pierwszy ślad z Żukowa wciąż tam jest. Tylko prowadzi dalej. I coraz pewniej.

Kiedy wszystko już ucichło, a obóz w Swarzewie powoli zapadał w noc, pomyślałem o całym rejonie puckim. Wydawało mi się, że znam te okolice, że byłem tu wystarczająco wiele razy, żeby nic mnie już nie zaskoczyło. Morze, zatoka, kilka znanych miejsc. Tymczasem ten dzień pokazał mi, jak złudne bywa takie przekonanie. Grota ukryta pod ulicą w środku wsi, doliny i trasy, o których wcześniej nie miałem pojęcia, szkoła w Swarzewie położona tak, że z jej terenu widać Zatokę Gdańską. Wszystko to składało się na obraz miejsca, które wciąż potrafi zaskakiwać. Zrozumiałem, że Włóczęga nie polega na odkrywaniu „nowych regionów”, ale na odkrywaniu znanych miejsc na nowo. Wolniej i uważniej. I z kimś, kto co chwilę zadaje pytania, na które sam dawno przestałem szukać odpowiedzi.

Dzień trzeci - scena na rynku

Niedziela, 10 czerwca i poranek, który był wyjątkowo piękny. Ciepły, jasny i spokojny, jakby specjalnie zaplanowany na ostatni dzień Turystycznej Włóczęgi. Po śniadaniu zebraliśmy się na oficjalne zakończenie. Organizatorzy podsumowali wspólną drogę, było kilka słów o trasach, pogodzie i o tym, jak bardzo ten czas w drodze potrafi zbliżyć ludzi. Na koniec każdy z uczestników otrzymał oczywiście pamiątkowy medal.

Mój syn przyjął go z pełną powagą. Założył od razu na szyję i podobnie jak rok wcześniej, nosił przez cały dzień jak najważniejsze trofeum. Medal podskakiwał mu na piersi przy

każdym kroku, przypominając, że to nie był zwykły weekend, tylko coś, co naprawdę się wydarzyło.

Zwinęliśmy namioty, spakowaliśmy zbędne rzeczy do samochodu dostawczego i ruszyliśmy w ostatnią trasę pieszą w kierunku Pucka. Nikt się nie spieszył. To był marsz bez presji, bez ambicji i bez potrzeby „domykania” kilometrów. Droga po prostu się toczyła.

Po drodze zatrzymaliśmy się na Kaczym Winklu - punkcie widokowym w okolicy ujścia rzeki Płutnicy, idealny do obserwacji ptaków i do patrzenia w dal. Z tego miejsca widać Puck i niemal cały Półwysep Helski. Stałem chwilę w ciszy, a syn próbował wypatrzeć, „gdzie kończy się morze”.

Do miasta weszliśmy spokojnie, od strony, która pozwala je oswoić. Dotarliśmy na rynek i wtedy uderzyła mnie myśl, że... kompletnie o czymś zapomniałem. W Pucku odbywało się właśnie święto organizacji pozarządowych, a jedną z głównych atrakcji była gra miejska organizowana przez pomysłodawców Turystycznej Włóczęgi. Wiedziałem o tym. Pamiętałem. A jednak zaskoczenie było pełne.

Dostaliśmy mapę i kartę startową. Na niej wydrukowane były fragmenty detali architektonicznych i elementów charakterystycznych dla miasta. Zadanie było proste - odnaleźć je w terenie, oznaczyć na karcie i odpowiedzieć pisemnie na pytanie. Dwugodzinny spacer prowadził po najciekawszych miejscach Pucka, ale w formie, która bardziej przypominała odkrywanie niż zwiedzanie.

Zaczęliśmy od malowniczej przystani rybackiej, gdzie ustawiony jest symboliczny słupek, upamiętniający zaślubiny Polski z morzem dokonane 10 lutego 1920 roku przez generała Józefa Hallera. Obok dumnie stoi popiersie „Błękitnego Generała”. Port rybacki okazał się także doskonałym punktem widokowym na Zatokę Gdańską i górującą nad miastem potężną, gotycką farę.

Kościół farny św. Piotra i Pawła z XIV–XV wieku robił wrażenie nawet na kimś, kto widział już sporo zabytków. Wnętrze z XVIII-wiecznym ołtarzem głównym oraz kaplicą Wejherów sprawiało, że krok sam zwalniał.

Stojąc już na rynku, zacząłem opowiadać synowi o historii miasta, bardziej dla siebie niż z potrzeby wykładu.

– Wiesz, Puck to bardzo stare miejsce. Już w XII wieku była tu osada. Przewinęło się tu sporo ludzi — cystersi, Krzyżacy, kupcy, rybacy.

Spojrzał na rynek, na kamienice i bruk pod nogami.

– To oni tu wszyscy mieszkali naraz?

– Nie. Jedni po drugich. Jak w grze - ktoś przechodzi level, a potem wchodzi ktoś nowy.

Chwilę milczał, po czym zapytał:

– A oni też chodzili po tym rynku?

– Pewnie tak. Tylko bez lodów i bez gier miejskich.

Popatrzył jeszcze raz dookoła, jakby próbował to sobie wyobrazić.

– To dobrze, że my mamy lepiej – stwierdził po chwili i ruszył dalej, ciągnąc mnie za rękę do następnego punktu na mapie.

Gra miejska wciągnęła go bez reszty. Szukał detali, porównywał

elementy na karcie, prowadził mnie od punktu do punktu, z medalem podskakującym na piersi. Patrzyłem na niego i miałem poczucie, że ten dzień idealnie spina całą Włóczęgę — ruch, historię, zabawę i uważne bycie w miejscu, które żyje własnym rytmem.

Po zakończeniu gry miejskiej przyszedł czas na kolejną atrakcję. Na rynku ustawiona była główna scena i właśnie tam odbyło się oficjalne zakończenie wydarzeń. Zebraliśmy się w tłumie uczestników i mieszkańców, a chwilę później rozpoczęła się ceremonia wręczenia nagród. Zwycięzcy zostali udekorowani przez Burmistrza Pucka oraz Starostę Puckiego. Wśród nagrodzonych byli także uczestnicy naszej Włóczęgi, co wywołało dodatkową falę oklasków i dumy. Stałem z boku i miałem poczucie, że ten weekend w naturalny sposób wpisał się w życie miasta.



Final gry miejskiej PoZnaj Puck.

Po emocjach przyszedł czas na pożegnania. Krótkie rozmowy, uściski dłoni, rzucane w powietrze „do zobaczenia za rok”. Padło też zaproszenie na kolejną edycję Turystycznej Włóczęgi. Czy się pojawimy? Czas pokaże.

A młody? Tu nie było żadnych wątpliwości. Po kilku dniach wędrówki padło hasło, które zwykle kończy wszystkie negocjacje - McDonald's. Tym razem jednak zrobiliśmy wyjątek. Zamiast tego poszliśmy do portu, na dorsza do Maszoperii, czyli smażalni ryb u Budzisa. Ostatecznie to ja skonsumowałem oba kawalki bo u młodego wygrały ogromne frytki i butelka Pepsi.

Po napełnieniu żołądków siedzieliśmy sobie na ławeczce przy porcie, patrząc na zatokę, kiedy wróciłem do pytania, które

zawsze lubię zadawać na końcu naszych wspólnych wypraw: – No dobra. Co najbardziej podobało ci się na tym wyjeździe?

Zastanowił się dosłownie chwilę. – Jaskinia - odpowiedział bez wahania.

Po czym dodał, zupełnie serio: – A możemy tam kiedyś pójść i pobawić się w strzelanki Nerfami?

Uśmiechnąłem się. Wtedy już wiedziałem, że ta Włóczęga zrobiła dokładnie to, co powinna. Zostawiła ślad. Taki, który wraca w pytaniach, pomysłach i planach na „kiedys”.

Epilog

Kilka tygodni później siedzieliśmy razem na plaży campingu w Chałupach. Wakacje, wiatr i pierwsze zajęcia z windsurfingu. Deski leżały na piasku, żagle trzepotały, a Zatoka była spokojniejsza niż zwykle. Patrzyliśmy w stronę drugiego brzegu.

– Tata... a ten budynek po drugiej stronie wody — zapytał nagle młody — to nie jest ten kościół, pod którym jedliśmy frytki po Włóczędzie?

Spojrzałem tam, gdzie wskazywał, i potwierdziłem z uśmiechem.

Dotarło do mnie, że te wyprawy naprawdę coś w nim poukładały, bo miejsca zaczęły mu się łączyć same. Bez opowieści i bez przypominania.

Epizod 3

2020 – Gmina Dziemiany: Cisza po wichurze

Rok 2020 nie zaczął się jak inne. Najpierw były pojedyncze informacje, dalekie i nie do końca zrozumiałe. Potem codzienne komunikaty dotyczące pandemii, liczby zachorowań, konferencje prasowe i mapy kraju pokrywane kolorami. Zielone, żółte, czerwone strefy przesuwały się z tygodnia na tydzień, zmieniając zasady życia szybciej, niż można było się do nich przyzwycząić. To, co jeszcze wczoraj było dozwolone, dziś stawało się niemożliwe. Zamykano urzędy, sklepy, szkoły, place zabaw a nawet lasy. Odwoływano wydarzenia, spotkania, wyjazdy. Branża turystyczna i organizatorzy wydarzeń znaleźli się w stanie zawieszenia. Trudno było planować cokolwiek, kiedy nie było wiadomo, co będzie możliwe za tydzień, a co za miesiąc. Każda decyzja była obarczona ryzykiem, każda próba organizacji pytaniem, czy w ogóle ma sens.

W tym chaosie informacyjnym, między jednym komunikatem a kolejnym, pojawiła się krótka informacja, która na moment zatrzymała moją uwagę. Fundacja ARKUN, mimo wszystkiego, zaproponowała termin kolejnej edycji Turystycznej Włóczęgi. Czerwiec, gmina Dziemiany. Kilka dni drogi, lasów i jezior. Przeczytałem to w kwietniu, z niedowierzaniem większym niż entuzjazm. Bardziej jako znak uporu niż realną zapowiedź wydarzenia.

Przez chwilę pozwoliłem sobie pomyśleć, że może się uda. Że być może świat na moment zwolni, a my znów ruszymy w drogę. Rzeczywistość szybko zweryfikowała te myśli, lockdown, ograniczenia w przemieszczaniu się, zakazy zgromadzeń i niepewność jutra sprawiły, że czerwcowy termin stał się nierealny. Decyzja była nieunikniona, Turystyczna Włóczęga została przełożona na 25–27 września. Ten sam region, ta sama idea, ale zupełnie inny kontekst. Lato minęło w oczekiwaniu, bez wyjazdów, bez planów, z codziennym sprawdzaniem, co wolno, a czego znów nie. Pozostało tylko czekanie i powolne osvajanie się z myślą, że ta edycja, jeśli w ogóle dojdzie do skutku, będzie inna niż wszystkie poprzednie.

Dla dziecka ten czas wyglądał inaczej. Szkoła nagle przeniosła się do domu, lekcje odbywały się przy kuchennym stole, a przerwy między nimi nie prowadziły już na boisko, tylko do drugiego pokoju. Zniknęły wyjścia, spotkania, wycieczki, a dni zaczęły się do siebie upodabniać. Pytania o „kiedy znów pojedziemy” wracały regularnie, choć bez nacisku, raczej z nadzieją niż z niecierpliwością. Czekanie stało się częścią codzienności, a droga, która kiedyś była oczywista, zaczęła istnieć najpierw tylko w rozmowach i planach. I może właśnie dlatego, gdy wrześniowy termin w końcu stał się realny, znacze-

nie samego wyjścia z domu było większe niż kiedykolwiek wcześniej.

Zacząłem czytać o gminie Dziemiany. O lasach, jeziorach, miejscach dotkniętych wcześniejszą nawałnicą. O regionie, który sam musiał się odbudowywać po własnej katastrofie. Nie wiedziałem jeszcze, że to właśnie tam cisza będzie miała zupełnie inne znaczenie niż dotąd. Wiedziałem tylko, że jeśli znów wyruszymy, droga nie będzie już ucieczką od codzienności. Będzie jej przedłużeniem.

Dobry ranek - zaczynamy

25 września wyruszyliśmy bardzo wcześnie z Trójmiasta. Samochód sunął pustymi drogami w kierunku Lubni, a poranek był zaskakująco pogodny. Słońce stało nisko, powietrze było chłodne, ale spokojne. Ten kontrast - piękna pogoda i pustka na trasie - dobrze oddawał tamten czas.

– *Okropnie długo się jedzie do tego miejsca* – mruknął młody po półgodzinie jazdy. – *I nawet do szkoły nie musiałem tak wcześnie wstawać.*

Uśmiechnąłem się pod nosem, bo po kilkunastu minutach zasnął i przespał resztę drogi. Obudził się dopiero niedaleko celu, jakby chciał mieć ostatnie słowo w tej porannej dyskusji.

W Lubni byliśmy przed wszystkimi, nawet przed organizatorami. Młody spał jeszcze jakiś czas po zatrzymaniu się po czym wyszedł łaskawie z pojazdu gdy zbliżał się pociąg do stacji. Spotkanie zaplanowano przy starym, ceglanym budynku stacji kolejowej — miejscu, które samo w sobie wyglądało jak kadr z innej epoki. Znów było kameralnie. Kilka osób, znajome

twarze, krótkie powitania. Tradycyjnie organizatorzy zabrali nasze bagaże do bazy w Dziemianach, ale już na wstępie było jasne, że ten rok będzie inny.

W 2020 roku baza była tylko jedna. Z powodu przepisów związanych z pandemią nie można było korzystać z terenów szkolnych, więc zaplecze całej Włóczęgi przeniesiono na teren Orlika w Dziemianach. Proste rozwiązanie, bez kombinowania, ale wystarczające. Ważniejsze było to, że w ogóle udało się wyruszyć.

Trasa pierwszego dnia prowadziła z Lubni przez Zalesie do Leśna. Szło się dobrze, spokojnie, bez presji dystansu. W Leśnie zatrzymaliśmy się na dłużej. Przeszliśmy Ścieżkę Kulturową, położoną nad jeziorem Leśno Dolne i rzeką Niechwaszcz. To miejsce wyjątkowe, przede wszystkim ze względu na cmentarzysko kurhanowe z I i II wieku naszej ery. Kamienne kręgi, kurhany z kulistymi obstawami, zrekonstruowane groby skrzynkowe z epoki żelaza. Ślady osadnictwa ludów epoki brązu i żelaza, w tym kultury łużyckiej, pomorskiej i wielbarskiej oraz Gotów. Miejsce, w którym archeologia mówi więcej niż tablice informacyjne. Syn słuchał uważnie, aż w pewnym momencie spojrzał na mnie z wyraźnym błyskiem w oku. – *Ej... Goci... a to nie są ci sami, co kiedyś?*

Ucieszyło mnie to pytanie. Łączenie kropek przyszło mu naturalnie.

Chwilę później jego uwagę przyciągnęła jednak legenda. Według kaszubskich podań kamienne konstrukcje są dziełem Stolemów - olbrzymów, którzy mieli używać głazów jak piłek. – *Musiały ich boleć nogi od kopania takich krzywych piłek* – skomentował z pełną powagą.

Z Leśna ruszyliśmy dalej w kierunku Dziemian. Krajobraz zmieniał się stopniowo, aż w końcu stał się przejmujący. Ogromne połacie terenu, na których kiedyś rósł gęsty las. Teraz, pojedyncze, wysokie sosny, łyse niemal do czubków, stojące samotnie jak świadkowie czegoś, co już się wydarzyło. Wichura, która przeszła przez północną Polskę w nocy z 11 na 12 sierpnia 2017 roku, powaliła tysiące hektarów lasów. Około 20 milionów drzew zostało złamanych lub wyrwanych z korzeniami. Były ogromne straty materialne, była też tragedia, zginęło pięć osób. Uprzątnięcie terenu zajęło niemal dwa lata. Szliśmy w ciszy. Trudno było nie myśleć o tym, jak kruchy jest porządek, który wydaje się stały.

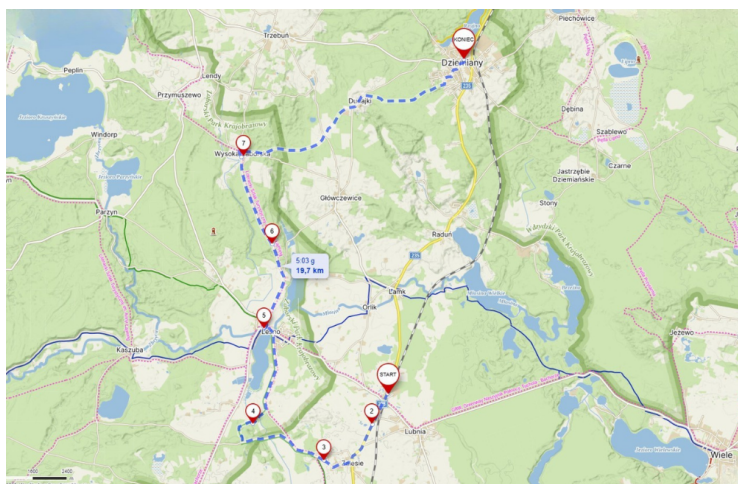


Gminne Centrum Informacji Turystycznej

Do Dziemian dotarliśmy w spokojnym, niemal nostalgicznym

nastroju. Obozowisko powstawało na terenie między szkołą, Orlikiem a Gminnym Centrum Informacji Turystycznej. Wieczór był chłodny, pod koniec dnia zaczęło padać, więc z ulgą przyjęliśmy ognisko, kielbasy i wiatę za GCIT — prostą, ale bardzo klimatyczną.

Siedzieliśmy długo przy ogniu. Rozmowy same schodziły na temat pandemii. Były historie śmieszne, absurdalne, ale też takie, które zostawiały ciszę. Każdy miał coś do opowiedzenia. To był dziwny czas, który wszyscy próbowali jakoś ośwoić. Około północy rozmowy zaczęły cichnąć. Ognisko dogasało, deszcz przestał padać. Obóz zasypiał powoli, jakby nie chciał zbyt szybko zamykać tego dnia. Tak zaczął się trzeci epizod Włóczęgi. Inny niż wszystkie wcześniejsze. Cichszy. Bardziej uważny.



Trasa do pobrania na stronie <https://www.rajdarkun.pl/warto-odwiedzic/>

Dobry dzień - kontynuujemy

26 września od rana nie zapowiadał się najlepiej. W nocy przeszedł deszcz, a poranek przywitał nas pochmurnym niebem i drobną mżawką. Powietrze było ciężkie, wilgotne, a prognozy pogody nie pomagały w podejmowaniu decyzji. Co chwilę pojawiało się to samo hasło: „za moment się rozpogodzi”, „jeszcze chwilę”, „zaraz powinno puścić”. Start marszu był kilka razy przekładany, a już było wiadomo, że ambitny plan trasy trzeba będzie skrócić.

Wszyscy siedzieliśmy pod wiatą w bazie. Dorośli rozmawiali półgłosem, dzieci kręciły się coraz bardziej niespokojnie. Młody w końcu nie wytrzymał.

– *To jak nigdzie nie pójdziemy i będzie cały czas padało, to co będziemy robili?* – zapytał z autentyczną troską.

– *Wtedy przejdziemy się po wsi i policzymy domy* – odpowiedziałem trochę sarkastycznie, bo nie miałem lepszego pomysłu.

Podchwycił natychmiast.

– *No okej. To może zanim to zrobimy, ustalimy ile ich jest i wygras ten, kto trafi.*

– *Zakładając, że we wsi mieszka około tysiąc pięćset osób, a większość budynków to domy, to... pi razy oko jakieś trzysta siedemdziesiąt.*

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– *A co to „pirazyoko”?*

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Prowadzący zarządził wymarsz.

Ruszyliśmy leśnymi drogami w kierunku Rezerwatu Przyrody Lipno–Lipienko. Deszcz stopniowo ustępował, mżawka

zniknęła, a z każdym kilometrem robiło się cieplej. Atmosfera na szlaku wyraźnie się poprawiła. Wszyscy jakby odetchnęli - w końcu byliśmy w ruchu.

Podczas jednego z postojów natknęliśmy się na coś zupełnie nieoczekiwanego. Pośrodku lasu ciągnęła się dziwna plantacja: cienkie, patykowate drzewka z ogromnymi liśćmi. Wyglądały jak z innego świata. Rozpoczęła się żywa dyskusja — co to za miejsce, co to za rośliny i dlaczego rosną właśnie tutaj. Zasięgu oczywiście nie było, więc przez dłuższą chwilę krążyły mniej i bardziej fantazyjne teorie. Dopiero po czasie udało się ustalić, że to plantacja drzew tlenowych, czyli paulowni.

Paulownia to roślina pochodząca z Azji Wschodniej, znana z bardzo szybkiego wzrostu i ogromnych liści. Często określana jest mianem „drzewa tlenowego”, bo w krótkim czasie potrafi wytworzyć dużą masę zieleni, intensywnie pochłaniając dwutlenek węgla. W ostatnich latach bywa sadzona eksperymentalnie, także w Polsce, głównie ze względu na właściwości ekologiczne i przemysłowe.



Drzewo tlenowe

Dalej trasa doprowadziła nas nad jezioro Lipno, do platformy widokowej. Widoki były spokojne, szerokie, dające oddech. Ale dla najmłodszych największą atrakcją okazało się coś zupełnie innego. Brzeg jeziora był bardzo płytki i porośnięty torfowiskiem. Dzieci szybko zdjęły buty i... zaczęły chodzić po wodzie. Wyglądało to tak, jakby stąpały po jej powierzchni. Śmiech, okrzyki, testowanie, jak daleko można wejść.

Po tej wodnej przygodzie ruszyliśmy w stronę Dziemian przez wsie Kloc, Dąbrówka i Piechowice. Zanim dotarliśmy do bazy, skręciliśmy jeszcze na plażę przy jeziorze Rzuno. I tu wydarzyło się coś, czego zupełnie się nie spodziewałem. Kilka osób postanowiło się wykąpać. Wrzesień, chłodno, a oni do wody. Młody nawet sekundy się nie zastanawiał. Razem z

grupą dzieci wbiegł na pomost i wskoczył prosto do jeziora.

Stałem na brzegu, pilnując młodzieży, podczas gdy rodzice ruszyli do bazy po ręczniki. Bo przecież kto nosi na szlaku ręczniki kąpielowe? Po kilkunastu minutach pluskania się młody wyskoczył z wody, cały zziębnięty, ale promieniujący dumą.

– Morsowałem! – oznajmił z pełnym przekonaniem.

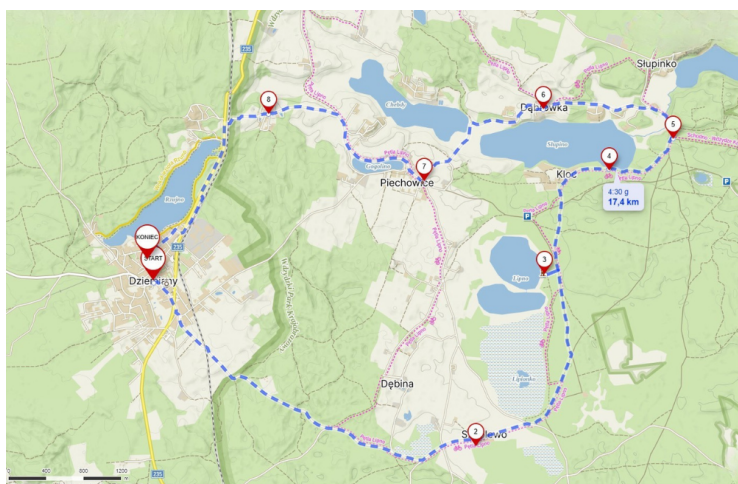
Popołudnie w bazie upłynęło już spokojniej. Po przebraniu się i prysznicach przyszedł czas na tradycyjny konkurs wiedzy - pytania o trasę, miejsca, przyrodę i drobne szczegóły dnia. Potem dekoracja medalami i drobne upominki od gminy Dziemiany. Dla dzieci to zawsze był moment szczególny.



Medal uczestnika

Wieczorem zapłonęło ognisko. Młodszy uczestnicy z latarkami biegali po terenie, bawiąc się w jakąś własną, zupełnie nową odmianę podchodów. Kiedy zrobiło się ciemno, pojawiła się gitara. Przy jej dźwiękach siedzieliśmy niemal do północy. Bez pośpiechu, bez planów na jutro, po prostu razem.

To był dzień, który nie zapowiadał się najlepiej, a skończył się dokładnie tak, jak powinien.



Trasa do pobrania na stronie <https://www.rajdarkun.pl/warto-odwiedzić/>

Dobry wieczór - kończymy

W niedzielę 27 września obudziłem się wcześniej, jeszcze zanim obóz na dobre się poruszył. Chwilę później z namiotu odezwał się młody, wyraźnie rozbawiony.

– Obudziłem się w nocy, bo ktoś strasznie chrapał. Myślałem, że wrócił zeszłoroczny potwór. Zrobił krótką pauzę. – I wiesz co? To byłeś ty. Zakończył głośnym chrumkaniem z wyraźną radością.

Powoli wstawał dzień. Chłodny, ale spokojny. Tym razem śniadanie miało inną formę niż zwykle. Zabranie małego palnika, menażek i jajek okazało się strzałem w dziesiątkę. Jajecznica szybko stała się atrakcją poranka. Pod wiatą zebrała się cała dziecięca drużyna chętnych na „jajówkę”. Dobrze, że

zrobiłem więcej, porcja zniknęła szybciej, niż zdążyłem się zastanowić, czy starczy dla nas.

Młody w tym czasie powoli zbierał swoje rzeczy z namiotu. Bez pośpiechu, bez marudzenia. Jakby wiedział, że to już ostatni poranek. Po spakowaniu ruszyliśmy na finałową wycieczkę - ścieżkę przyrodniczą wokół Jeziora Rzuno.

Trasa była prosta i spokojna. Woda po lewej stronie towarzyszyła nam niemal cały czas. Poza naszą grupą nie spotkaliśmy nikogo. Kilka przystanków, kilka zdjęć, kilka opowieści prowadzącego o jeziorze i okolicy. Jedna z nich szczególnie zapadła młodemu w pamięć — legenda o zatopionej wsi, która miała zniknąć pod wodą jako kara za grzechy mieszkańców. Młody odezwał się po chwili. – *Na zamku była legenda o niewiernych, w tych kamieniach Gotów była klątwa, a tu znowu grzechy. Czy wszystkie legendy tutaj są takie okrutne?*

Zastanowiłem się chwilę. – *Chyba po prostu dawniej łatwiej było straszyć legendą niż tłumaczyć ludziom, żeby byli dla siebie w porządku.*

Pokiwał głową, jakby to miało sens.



Jezioro Rzuno w Dziemianach.

Wędrówka dobiegała końca. Po powrocie do bazy wszystko było już posprzątane. Transport zabrał nasze bagaże pod stację w Dziemianach. Tam czekaliśmy na pociąg, większość wracała do Trójmiasta, my do Lubni po samochód. Pożegnania trwały długo, choć w zupełnie innej formie niż kiedyś. Bez przytulania, bez uścisków. Zamiast tego żółwika, skinienia głową i uśmiechy, które musiały wystarczyć. Każdy życzył sobie jednego — lepszych okoliczności za rok.

Wsiedliśmy do samochodu i zgodnie stwierdziliśmy, że wracamy do domu. McDonald's nie pyta, on woła. Niestety młody nie mógł pojąć, że najbliższy jest dopiero... w Gdańsku. W ramach kompromisu zaproponowałem frytki w Kościerzynie.

Usiedliśmy na pustym, małym ryneczku. Cisza, chłodne powietrze i kartonik z frytkami.

– *Wiesz, że muszę cię zapytać – zacząłem. – Co najbardziej podobalo ci się na wyjeździe?*

Tym razem nie odpowiedział od razu. Jadł, myślał. Przez moment pomyślałem, że może to już przesyt. Że może Włóczęga przestaje być dla niego czymś wyjątkowym. W końcu spojrzał na mnie i powiedział: – *Człowieki. W sensie ci, co tam przyjechali. Poznałem fajnych kolegów i koleżankę. To mi się najbardziej podobalo.*

Uśmiechnąłem się. Coś czułem, że młody dorasta. A wraz z nim zmieniają się priorytety. Droga wciąż jest ważna - tylko coraz częściej prowadzi już nie tylko przez lasy i jeziora, ale też przez ludzi.

Tak zakończyła się Turystyczna Włóczęga 2020. Inna niż wszystkie wcześniejsze — mniej oczywista, bardziej uważna, momentami prowadzona w niepewności. Trudniejsza w organizacji, ostrożniejsza w formie, podporządkowana zasadom, które jeszcze chwilę wcześniej wydawały się nie do pomyślenia. A jednak doszła do skutku. Nie dlatego, że wszystko sprzyjało, lecz dlatego, że potrzeba bycia w drodze okazała się silniejsza niż okoliczności. To była Włóczęga, w której mniej było planów, a więcej reagowania. Mniej spontaniczności, więcej odpowiedzialności. I może właśnie dlatego zapisała się tak wyrażnie, jako dowód, że nawet w czasie ograniczeń można znaleźć przestrzeń na wspólne przeżywanie, ruch i rozmowę. Ten rok nie przyniósł wielkich dystansów ani spektakularnych tras. Przyniósł coś innego: potwierdzenie, że sens Włóczęgi nie tkwi w skali, lecz w decyzji, by mimo wszystko ruszyć. I że droga, nawet skrócona, nawet przerywana, nadal potrafi

prowadzić dokładnie tam, gdzie trzeba.

Zakończenie ale nie koniec

Na tym etapie po prostu się zatrzymujemy. Bez wielkiego finału i bez stawiania kropki z rozmachem. Tak jak po długiej trasie - siadamy, zdejmujemy buty i przez chwilę patrzymy, skąd przyszliśmy.

Żukowo było początkiem. Pierwszym sprawdzeniem, czy to w ogóle ma sens. Błoto, Jar Raduni, kamienne kręgi, pierwszy namiot i pierwszy nocleg pod plandeką nieba. Wszystko było nowe i trochę improwizowane. Droga jeszcze nie miała kształtu, ale już wtedy było jasne, że nie chodzi o dystans ani tempo, tylko o bycie razem i o to, co wydarza się pomiędzy kolejnymi krokami.

Puck przyniósł morze, wiatr i przestrzeń. Długie odcinki wzdłuż wody, klify, doliny rzek wpadających do Zatoki Puckiej i miejsca, których wcześniej w ogóle nie mieliśmy na mapie. Było więcej ludzi, więcej rozmów i więcej śmiechu. Pojawiło się poczucie, że Włóczęga zaczyna być czymś więcej niż jednorazowym wyjazdem.

Dziemiany w 2020 roku były inne. Cisza po nawałnicy, ślady zniszczonych lasów, pandemia w tle i ostrożność, która towarzyszyła każdemu dniu. A jednocześnie ruch, ognisko, kąpiel w jeziorze, bieganie z latarkami i rozmowy do późna. To był rok, który pokazał, że nawet w trudniejszych okolicznościach taka forma bycia razem ma sens, może nawet większy niż zwykle.

Z perspektywy czasu widać jedno bardzo wyraźnie. Spanie pod namiotami, wspólne bazy, ogniska i codzienna prostota sprawdziły się bez zastrzeżeń. Z roku na rok uczestników było coraz więcej. Nie dlatego, że trasy były łatwe albo atrakcje spektakularne. Raczej dlatego, że ten sposób spędzania czasu dawał coś, czego na co dzień często brakuje - przestrzeń, rozmowę, zmęczenie, które jest dobre, i poczucie wspólnoty, które nie wymaga deklaracji.

Ten tom zamyka pierwszy etap. Lata, w których wszystko było nowe, zarówno droga, jak i relacja, która się na niej budowała. Dalej będą kolejne miejsca, inne trasy i inne rozmowy. Ale to, co wydarzyło się między Żukowem, Puckiem i Dziemianami, zostaje jako fundament. Reszta... wydarzy się po drodze.

Fundacja ARKUN

Fundacja ARKUN została powołana w celu promowania atrakcji turystycznych i sportowych województwa pomorskiego. Od początku swojego istnienia stawia na aktywność outdoorową oraz promocję postaw ekologicznych i zdrowego stylu życia. Aktywnie działa także na terenie miasta Gdynia, wspierając postawy obywatelskie poprzez własne wydawnictwo oraz publikację materiałów integrujących społeczność seniorów i młodzieży.

Założa:

Mariusz Albecki – prezes

Nauczyciel geografii z powołania i praktyk terenowych w DNA. Od 2006 roku organizator Imprez na Orientację, przodownik turystyki górskiej PTTK oraz licencjonowany pilot wycieczek. Absolwent kursu kierowników placówek wypoczynku – człowiek, który nie tylko zna mapę, ale potrafi poprowadzić ludzi dokładnie tam, gdzie trzeba.

Paweł Musiał – członek zarządu

Marketingowiec, który pilnuje, żeby dobre idee nie ginęły w chaosie. Odpowiada za oprawę merytoryczną, promocję, sprawny przebieg oraz rozliczanie wydarzeń. Doświadczony organizator imprez społecznych, sportowych i turystycznych – od koncepcji, przez realizację, aż po ostatnią fakturę.

Daniel Warszawski – Przewodniczący Rady Fundacji

Kierownik bazy i człowiek od zadań specjalnych – ten, który ogarnia wtedy, gdy inni dopiero zauważają problem. Komendant zawodów Orientator pomorskie zawody z mapą, zawodowo specjalista ds. BHP, więc bezpieczeństwo ma nie tylko w papierach, ale i w praktyce. Gdy Daniel jest na miejscu, wydarzenie działa jak dobrze oznakowana trasa: logicznie, bezpiecznie i bez zbędnych nerwów.

Marcelina Kogut – Rada Fundacji

Łącząca zdrowy dystans i poczucie humoru ze stanowczym, jasno wyrażanym zdaniem. Wspiera fundację na każdym etapie realizacji wydarzeń – od planowania, przez organizację, po podsumowania i wnioski na przyszłość. Potrafi rozładować napięcie jednym komentarzem, a gdy trzeba – postawić sprawy na nogi bez zbędnych ceregieli.

Witold Michalkiewicz – Rada Fundacji

Odpowiedzialny za zaopatrzenie oraz właściwe rozstawienie i logistyczne „ułożenie” wszystkiego, co musi działać w terenie. Fachowiec od szybkiej oceny sytuacji i skutecznego rozładowywania napięć – zanim problem zdąży urosnąć. Gdy Witold jest na miejscu, chaos wie, że lepiej się nie wychylać.

Dawid Litewski – Rada Fundacji

Specjalista od wypraw kajakarskich – człowiek, który na wodzie i na lądzie myśli kilka ruchów do przodu. Chłodny w kalkulacji, opanowany w decyzjach, a przy tym dusza towarzystwa, która spina zespół w całość. Odpowiada wyłącznie przed Prezesem i Marceliną

Adam Smolarczyk – Rada Fundacji

Człowiek od wydarzeń ekstremalnych – nocnych wędrówek pieszych, wycieczek rowerowych bez mety oraz kajakarskich tras, które potrafi przepłynąć trzy razy: z prądem, pod prąd i w poprzek. Tam, gdzie inni pytają „po co?”, Adam już sprawdza czołówkę. Jego poczucie humoru potrafi zwalić z nóg każdego – niezależnie od warunków, zmęczenia i zdrowego rozsądku.



About the Author

Redaktor naczelny portalu esencjagdyni.pl, prezes zarządu agencji reklamowej ESENCJA, członek Zarządu Fundacji ARKUN, były członek Rady ds. Budżetu Obywatelskiego, Komitetu Rewitalizacji i zespołu tematycznego UrbanLab do spraw rozwoju społeczeństwa obywatelskiego i partycypacji przy Prezydencie Miasta Gdynia, były wiceprzewodniczący Rady Dzielnicy Leszczynki, założyciel Forum Gdyńskich Rad Dzielnic.

You can connect with me on:

🌐 <http://www.musial.me>

🐦 <https://x.com/PawelFly>

📘 <https://www.facebook.com/pawelfly>

Also by Paweł Musiał

Skąd pomysł?

Tworząc ebooka, miałem prostą intencję: zebrać doświadczenia, emocje i trasy wypraw Turystycznej Włóczęgi w jednym miejscu, zanim rozmyją się w anegdotach opowiadanych przy ognisku. Ta książka nie jest poradnikiem „jak zostać podróżnikiem” – to zapis drogi. Tej w terenie i tej, która dzieje się w głowie.

Chcę pokazać, że turystyka to nie katalog atrakcji ani lista „must see”, tylko ludzie, decyzje, zmęczenie, śmiech i momenty, które zostają na długo po powrocie do domu. Jeśli po lekturze ktoś spakuje plecak i po prostu wyjdzie – bez potrzeby udowadniania czegokolwiek komukolwiek – uznaję to za sukces. A jeśli zrobi to właśnie po przeczytaniu tej publikacji, będzie to dla mnie ogromna satysfakcja.